TYM RAZEM W ŁODZI

Wróćmy najpierw do lipcowej recenzji, a potem napiszmy parę zdań o różnicach z łódzką wersją spektaklu.

Siła i słabość po żydowsku

Wybór jednej z późnych, "izraelskich" powieści Marka Hłaski na inaugurację działalności Muzeum Historii Żydów Polskich wydaje się ciekawym pomysłem. Typowa dla Hłaski, trochę już pretensjonalna historia o mocnych facetach, miłości, zdradzie, honorze, fatalistycznie pojmowanym losie i braku swojego miejsca na ziemi nabiera tu nowego wymiaru. Zadara, eksponując wątki żydowskie, proponuje nam interpretację łączącą wątki osobiste z historycznymi, czyta Hłaskę przez filtr teorii o postpamięci. Główny bohater Dov, jego młodszy brat o takim samym imieniu (w powieści nazywany Drugim Dovem) i ich ojciec o takim samym imieniu są agresywni, do bólu pryncypialni i zapatrzeni w siebie także przez historię narodu, który albo nie potrafi się bronić, albo walczy o swoje zbyt stanowczo. Żydzi urodzeni w Izraelu pogardliwie odnoszą się do Żydów z Europy, którzy pozwolili się zamknąć w gettach i obozach. Ich twarda stanowczość sprawdza się w walce z Arabami i pustynią, ale nie sprawdza się w codziennym życiu. Z kolei podszyty strachem pacyfizm przybyłego z Europy (z Polski), wiecznie uciekającego Izraela (imię bohatera) pozwala więcej zrozumieć z międzyludzkich relacji.

Bardzo szeroka, ale płytka scena podzielona jest na kilka symultanicznie wykorzystywanych stref, w których proste dekoracje symbolicznie oznaczają miejsca akcji - dom, kawiarnię, warsztat samochodowy, plażę. Cała siódemka aktorów swobodnie porusza się po tym wykreowanym na scenie miasteczku, wchodząc lub wychodząc z roli, przebierając się lub zmieniając rekwizyty, a nawet obsługując światła i nagłośnienie. Wszystko dzieje się na oczach widzów, a nawet jest ogrywane improwizowanymi dialogami (gdy jeden z aktorów nie mógł sobie poradzić z reflektorami, zaimprowizował kwestię w rodzaju: nie wiesz, jak się włącza te cholerne lampy?). Rzeczywistość montowana na bieżąco, ten nastrój wiecznej prowizorki sprawdza się jako sposób oddania tymczasowości życia w Izraelu początku lat 60, w kraju tworzonym przez powracających do ojczyzny Żydów z całego świata. Gorzej z oddaniem dusznej atmosfery i nieprawdopodobnego gorąca (powieść Hłaski aż ocieka potem) - podkoszulki i wentylator to trochę za mało, zwłaszcza gdy siedzimy w nowoczesnej, klimatyzowanej sali Muzeum.

Wszystko zaczyna się od wyświetlenia na tylnej ścianie olbrzymich liter tworzących tytuł przedstawienia, a kończy się wyświetleniem słowa koniec. Czy w teatrze oglądamy więc film, czy może powieść Hłaski jest tak silnie inspirowana amerykańskim kinem, że reżyser chciał to jakoś zaznaczyć? Tak czy owak - o usunięciu powieściowej sceny przesłuchania, w której padają tytułowe słowa, fraza *Wszyscy byli odwróceni* nie do końca jest zrozumiała w kontekście przedstawionych wydarzeń. Staje się metaforą historii z czasów zagłady. A może to tylko sugestia miejsca, w którym oglądamy spektakl, a w Łodzi zabrzmi to zupełnie inaczej?

Nie ze wszystkimi decyzjami reżysera można się pogodzić. Koszmarnym pomysłem jest przekazywanie sobie nawzajem kierownicy jako znaku jazdy samochodem. W dodatku prowadzący wyimaginowanego jeepa udaje, że zmienia biegi. Dobrze, że nie robi buuuuu..., gdy samochód jedzie. Ciężka do zniesienia jest też maniera, z którą aktorzy wygłaszają tekst. Wszyscy krzyczą, jednocześnie bardzo dokładnie, słowo po słowie wypowiadając kwestie bez żadnej intonacji. Trochę jakby strasznie czymś wkurzony głos z samochodowego GPS podawał ci drogę z Łodzi do Eljatu. Ponieważ mówią tak wszyscy, musiała to być decyzja reżysera (a nie aktorów), być może

zaznaczająca dystans do pretensjonalnych dialogów Hłaski. Najlepiej wypada to w Przypadku Esther granej przez Barbarę Wysocką (najlepsza rola, oby zagrała też w Łodzi). Anna Cieślak grająca Urszulę mówi jak postać z jakiegoś satyrycznego monologu (pani Eliza i pan Sułek) - być może dlatego, że gra postać nieznającej języka Niemki.

Bardzo dobrze Zadara rozegrał za to sceny bicia, których jest w sztuce kilka. Bita jest za każdym razem specjalna kukła człowieka, co pozwala nie tylko uniknąć naturalistycznie symulowanych okrucieństw, ale też podpowiada, że to bicie ma charakter zastępczy. Jak mówi się w jednym z dialogów, często dostajemy nie za swoje winy. Przemoc odbija się echem, także w następnych pokoleniach.

A nasi aktorzy? Mateusz Janicki i Michał Kruk (na zdjęciu) dobrze wypełniają swoje zadania. Janicki gra Drugiego Dova i w roli młodego męża naśladującego zachowania starszego brata wypada przekonująco. Kruk gra kilka epizodycznych postaci, dużo uwagi musi też poświęcić obsługiwaniu urządzeń technicznych. Obaj nieźle sobie radzą, ale - zgodnie z przesłaniem tekstu - mężczyźni dopiero na własnym podwórku pokazują pełnię swoich możliwości.

W Łodzi inaczej

Pierwsza różnica rzuca się w oczy jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia. Ponieważ scena jest o połowę węższa - zgromadzone na niej meble, parawany i lampy są bardziej stłoczone, przestrzeni jest mało, co wzmacnia wrażenie tymczasowości, prowizorki. Problem braku przestrzeni i intymności w mieszkaniach staje się bardziej wiarygodny, ale za to więcej wyobraźni potrzeba, by wczuć się w sceny na pustyni - coś za coś. Mniejsza scena to także większe tempo, wszelkie zmiany sytuacji przebiegają sprawniej, szybciej. Ponadto reżyser dopracował z aktorami szczegóły, zdynamizował strukturę dramaturgiczną. Aktorzy nie muszą już do siebie krzyczeć ani deklamować roli jak w XIX wieku.

Druga różnica wiąże się z porą roku - granie sztuki o szaleństwie ludzi zmuszonych do życia w pustynnym klimacie inaczej wygląda w lipcu, a inaczej w listopadzie. Bohaterowie są poddenerwowani, nie mogą spać od upału, ciągłe zmęczenie nie daje żyć, ale nie przeszkadza narastaniu atmosfery erotycznego podniecenia. Zmarznięty listopadowy widz musi sobie to wszystko wyobrażać.

W ogóle okazuje się, jak wielkie znaczenie ma kontekst artystycznego wydarzenia. Warszawski, grany na otwarcie Muzeum Żydów Polskich spektakl czytał się według klucza historycznego. W Łodzi zrobiła się z tego niespodziewanie historia miłosna - jakiś melodramat połączony z westernem. Ważniejsze stały się napięcia między bohaterami, psychologiczne mechanizmy uwodzenia, samooszukiwania się, prowokacji. Czy starszy z braci jest rzeczywiście supermenem, w którym zakochują się wszystkie kobiety i którego podziwiają wszyscy mężczyźni? A może wszyscy, łącznie z nim samym, ulegają urokowi legendy? Tytuł nadal jest niejasny, ale na pewno nie kojarzy się już z II wojną światową. Ta miłosno-kryminalna historia mogła się zdarzyć wszędzie i zawsze (pomijając detale tła, takie jak samochód czy pustynia).

Aktorzy wyraźnie się rozegrali, zwłaszcza Michał Kruk, który grając siedem czy osiem postaci, potrafił je zróżnicować (w Warszawie trudno się było połapać, czy to ten sam bohater, co dwie sceny wcześniej, czy może już inny). Za to Edward Linde-Lubaszenko swoich kilku bohaterów gra tak samo. Może wszyscy starsi Żydzi są do siebie podobni? Kamila Salwerowicz zastąpiła w obsadzie Annę Cieślak i chyba lepiej sobie poradziła w roli Urszuli. Za to Mateusz Janicki w nowej wersji

gdzieś zginął. Mam wrażenie, że postać młodszego brata zeszła na drugi plan. Być może to decyzja reżysera, który wyeksponował konflikt Starszy Ben Dov - Izrael.

Tekst Hłaski strasznie się zestarzał. Zastanawiam się, dlaczego w liceum tak się tym fascynowałem. Musiałem być bardzo śmieszny, próbując gadać jak jego bohaterowie: *spróbuj pomyśleć, to nie boli, początkowo będziesz miał trudności, ale gdy się przyzwyczaisz, da ci to wiele satysfakcji.*

Premiera 18 lipca 2013 w Muzeum Historii Żydów Polskich i 22 listopada 2013 w Dużej Sali Teatru Nowego.